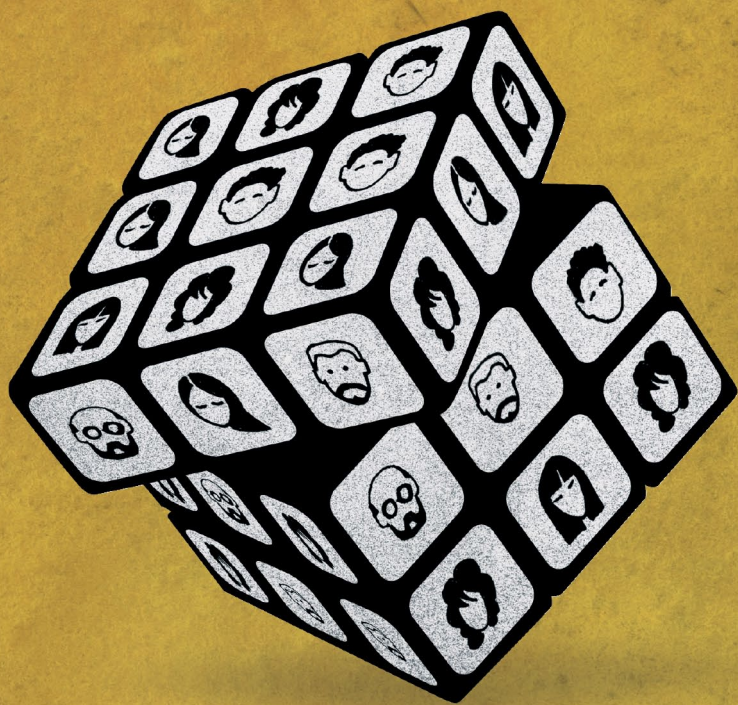


Magdalena Knedler

# WINDA



*JanKa*

Magdalena Knedler

**WINDA**



Copyright © Magdalena Knedler, 2016  
Copyright © wydawnictwo JanKa, 2016

Wydanie I  
Pruszków 2016

ISBN 978-83-62247-43-1

*I want to run  
I want to hide  
I want to tear down the walls  
That hold me inside  
I want to reach out  
And touch the flame*

U2, *Where the streets have no name*

*Dziękuję wszystkim tym, którzy opowiedzieli mi  
o swojej Windzie.*

*I Ani Mruk za „niuanse” – jesteś niezastąpiona.*

Ciasnota windy zawsze działa na Wandę inspirująco. Zupełnie jak gdyby myśli odbijały się od porysowanych tu i ówdzie ścian, po czym wracały do niej przefiltrowane przez obcy umysł i obdarzone nową jakością. Wanda jeździ zatem windą w górę i w dół, ani na chwilę nie wypuszczając z ręki długopisu. Niespecjalnie obchodzi ją to, że na którymś z pięter ktoś może czekać. I że ten ktoś chce, na przykład, skorzystać z windy w celach czysto praktycznych, nie zaś – jak Wanda – użyć jej niezgodnie z przeznaczeniem. A jednak ta jazda w górę i w dół jest ważna, jest fundamentalna. Chodzi o nie-  
możliwość ucieczki, o ruch, o szybki kolejnych pięter przesuwające się przed oczyma, o te małe okienka właśnie, które zakłócają świat myśli. Przypominają o innym świecie, zewnętrznym. O słońcu i deszczu, o korytarzu i klatce schodowej.

Najlepiej jest między dziewiątą a szesnastą. Sąsiedzi w pracy, w szkole, na uczelni; zajęci swoim zwykłym życiem. Wtedy Wanda może być spokojna. Nikt jej nie zatrzyma, nikt nie wejdzie między parterem a dziesiątym piętrem, nie zdepcze inspiracji i refleksji trywialnym „dzień dobry, ładna pogoda”. Tak, od dziewiątej do szesnastej wiele może się wydarzyć i wiele można napisać, pisanie zaś to drugie życie. A zatem długopis. Zatem notes. Wysłużony, z wytartym grzbietem, choć przecież Wanda od niedawna pisze. A ten

notes wygląda tak, jak gdyby skradła go uczniowi poety Bashō, który pokrzywił palce i myśli na tworzeniu haiku.

*Pastuch w łachmanach  
pilnuje stada owiec  
niebo szarzeje*

(...)

Stara Rifka знаła się na wszystkim. Każdy, słuchając jej, uśmiechał się z nutką politowania, a jednak nikt nie odważył się zaprzeczyć słowom, zakwestionować opinii, odmówić wiedzy i doświadczenia. Każdy też podczas długich tyrad Rifki popadał w osobliwą zadumę. Babcia umarła w ubiegłym roku, a Eli musiał przenieść wszystkie egzaminy na uczelni na wrzesień, by polecieć na pogrzeb. W Kanadzie, na Wyspie Księcia Edwarda, gdzie spędził całe swoje wcześniejsze życie, czerwiec nie był tak upalny jak w Polsce. Mimo to w sadzie czerwieniły się już delikatnie drobniotkie jabłuszka. Specjalna odmiana. Eli wciąż czuł na języku ten cierpki smak. Zjadł je wtedy znowu. Dokładnie siedem sztuk. Jak w cholernym żydowskim świeczniku. Szeptem liczył ogryzki, nie wiadomo po co. Połykał kęs za kęsem, krzywiąc się i mrużąc oczy, aż wreszcie gorycz owoców mieszała mu się w ustach z solą łez. Usiadł pod drzewem i płakał. Wiedział, że tym razem nie będzie głędzenia, zrządzenia i narzekania, nie będzie zalatujących gnojówką ziółek, nie będzie ulgi po wypiciu ciepłego płynu. Tylko ból brzucha i smutek. Smutek, bo jej już nie było.

Babcia Rifka ucieszyła się, kiedy Eli oznajmił, że chce studiować w Polsce. Jej oczy zaszkliły się na chwilę, a potem starsza dama splunęła pod nogi i mruknęła coś o pierdolonych nazistach i jebanych komunistach. Tak, babcia nauczyła Elego swojego ojczystego języka. Wnuk znał polszczyznę na wskroś, wiedział, jak opisać

zapach świeżego chleba, smak mleka z miodem, omówić prozę Prusa i poezję Mickiewicza, którego nie znosił. I znał też słowa „kurwa”, „jebać” i „chuj ci w dupę”. No bo jakże inaczej?

Babcia kląć umiała po polsku, niemiecku, angielsku, francusku, hebrajsku i w jidysz. Długo żyła, to i czas na edukację znalazła. A przed wojną w dobrym tonie było, by panna z porządnego domu znała języki obce, bo przecież wówczas nikt nie myślał o posyłaniu córek na studia techniczne, medyczne, nie słyszał o kobietach pilotujących myśliwce, programistkach, kierowcach rajdowych. Tylko te głupie hafty, literatura i języki obce. Ewentualnie muzyka, pianino, broń Boże gitara, gitara jest cygańska, plebejska, dziewczętom z zamożnego mieszczańskiego domu nie uchodzi. Kilka wyjątków, jakaś Curie-Skłodowska czy inna Coco Chanel nie spowodowały natychmiastowej przemiany obyczajów. Takie to życie, mawiała Rifka, rumieniąc się ze złości. Chciała ponoć studiować architekturę, mosty budować, może jakieś wieże, wzorem Eiffla, ale rodzice nie wyrazili zgody. Niby tacy postępowi bogaci Żydzi, co na edukację dzieciom nigdy nie żalowali. Córkę również na studia posłali. Na polonistykę! „Myślałby kto”, mawiała Rifka. „Jak gdybym od tego miała stać się bardziej polska!”

Eli uwielbiał opowieści babci. Nigdy nie miał dość, sam zagadywał i słuchał jej z wypiekami na twarzy. „Nie jest za młody na te historie, mamgo?”, pytał raz po raz ojciec, ale Rifka zbywała go prychnięciem. „Za młody, za młody! Będę czekała, aż podrośnie, i w końcu umrę z tego czekania, a jak umrę, to już mu nikt nie opowie i tyle!”. Eli zacierał ręce. Babcia zawsze była po jego stronie.

Najchętniej słuchał historii o wojennej Warszawie. O getcie i powstaniu. Babcia należała do pokolenia Kolumbów, tłumaczyła mu, że tak określano później ludzi, którzy urodzili się w pierwszej połowie lat dwudziestych ubiegłego wieku. A jednak kiedy wybuchła wojna, Rifka nie czuła się żadnym Kolumbem, żadnym odkrywczą-zdobyczą. Była Żydówką, a to wystarczyło, by odpowiednio ją zaklasyfikować i udekorować przepaską. Słowa „udekorować” i „przepaska” wypowiadała z ironią, spod której zawsze przebijały smutek i uraza. Trafiła do getta, oczywiście, jak cała jej rodzina. Tak

zawsze mówiła. „Trafiłam do getta, oczywiście”, jak gdyby inny los w ogóle nie był jej pisany.

Nie pamiętała, kiedy i jak wydostała się zza muru i co dokładnie wydarzyło się później. Tylko pojedyncze sceny, twarze, głosy, dźwięki i zapachy. Głód. Z początku jedynie relacjonowała wydarzenia, ale kiedy Eli podrośł, zaczęła wzbogacać opowieść o detale. Wrażenia. Przemyślenia. Punkt widzenia. Emocje. Strach.

Historia ogarniętej wojną Warszawy zawsze była jej jednostkową historią. Rifka mówiła o tym, jak wegetowała w piwnicy po ucieczce z getta, a nad głową rozgrywał się wielki i skazany na klęskę spektakl powstania warszawskiego. Opowiadała, jak bardzo pragnęła odegrać w nim swoją rolę. „Byłam gotowa umrzeć za to miasto, za ten cholerny, popieprzony kraj, w którym nikt nigdy nie wie, czego chce”, wołała z zapałem.

Eli był już dorosły, kiedy dołożyła ostatnie frazy ze słowami „cholerny” i „popieprzony”. Przestała się bawić w kurtuazyjne bajki o heroicznych czynach. Wtedy mogła już sobie pozwolić na złość, na jej ujawnienie. Świetnie orientowała się w polityce i o Polsce wiedziała wszystko, bo mimo kilkudziesięciu lat spędzonych w śmierdzącej klonami Kanadzie nadal czuła się Polką. Jak podczas wojny czuła się warszawianką, ale „jebani” Niemcy i „pierdoleni” komuniści zabrali jej ten świat na zawsze. Tak mówiła. W nosie miała krzywe spojrzenia swojego polsko-żydowsko-kanadyjskiego syna i na wskroś kanadyjskiej synowej. Syn niewiele rozumiał, a synowa nie rozumiała absolutnie nic. Rifka tylko w Elim pokładała nadzieję. To wnukowi opowiadała, jak znalazła sobie nową ojczyznę, bo nie należała do tych, co tylko jęczeli, że im źle. Wołała wziąć się za robotę, zając zwyczajnym życiem. Nie każdy przecież mógł pójść na łatwiznę i trąbić o naprawie świata, w rzeczywistości nie robiąc absolutnie nic. Ktoś musiał pracować, naprawę, zarabiać na chleb, wychowywać dzieci, gotować, prać, sprzątać, dbać o jabłonie w sadzie. A czasem pogadać o duperełach przy kawie w kuchni, żeby nie zwariować. I o ziemniakach pamiętać. Na Wyspie Księcia Edwarda, ostatnim miejscu na świecie, do którego Rifka spodziewała się trafić, urodzajna i żelazista

gleba idealnie nadawała się pod ich uprawę. Dziadek Elego, Edwin Richter, robotny kanadyjski rolnik, zabójczo przystojny aż do późnej starości, miał do ziemniaków złote ręce. Upierał się też przy hodowli krów mlecznych, ale Rifka oświadczyła, że krów doić nie będzie, a już zwłaszcza po nich sprzątać. Tak jej zostało do końca życia. Kiedy szli na spacer z Elim i na ich drodze pojawiały się krowy, Rifka prychała ze złością. A Eli się śmiał. Czuł dziwną jedność z babcią. Wstyd mu się zrobiło, kiedy uświadomił sobie, że być może kocha ją bardziej niż rodziców.

Rifka pracowała, dbała o jabłonki i ziemniaki, a mimo to o przeszłości nie zapomniła nigdy. I Elemu również nie pozwoliła. A Eli co? Jej wnusio, duma, babcina maskotka, zamierzał jechać do Polski studiować! Rifka przestała w końcu wyklinać komunistów, pokiwiała głową nad zmianą ustroju i zaczęła opowiadać o Warszawie. Zrzędziła trochę, że widziała zdjęcia w internecie i jej zdaniem teraz miasto już nie takie ładne jak kiedyś. „Nastawiali kanciastych maszkaronów, bo przecież komuniści za grosz gustu nie mieli, to jasne”. Jednak Warszawa była dla starej Rifki swoistą Itaką, do której, w przeciwieństwie do mitologicznego Odyseusza, wrócić nie miała nigdy.

Eli słuchał babci, a żołądek coraz bardziej podchodził mu do gardła. Wreszcie zaczerpnął tchu i przyznał, że nie do Warszawy zamierza jechać, ale myśli o Wrocławiu. Rifka umilkła wtedy nagle i zamrugła oczami.

„Jakże to? Breslau? To miasto germańskie, przez lat tyle ściskane w łapskach pieprzonych Prusaków? *Hob rachmones!*”. Oddech babki stał się przyspieszony i płytki. Eli spodziewał się tej lawiny słów wyrwanych z kilku różnych języków, która po chwili przygniotła go swoim ciężarem. Litości! *Rachmones!* Tę prośbę zawsze wypowiadała w jidysz. Zostało jej z czasów getta, choć wtedy kontekst był przecież zupełnie inny. Breslau germańskie! *Hob rachmones, hob rachmones!* A jak Prusacy wrócą? A jak historia się powtórzy? A jeśli znowu Noc Kryształowa się przytrafi? A jeśli Niemcy się upomną, że to przecież ich? Już tam coś słychać o jakichś centrach

wypędzonych. A że ją, Rifkę, z Warszawy wypędzono, to nikt nie raczy pamiętać!

Eli siedział cicho i tylko kręcił głowę. Nie odzywał się. Co by mu przyszło z użalania się nad babci rozumieniem historii? Dla niej ruskie i germańskie znaczyło złe. Automatycznie. Ale co robić? Eli uparł się na Wrocław. I pojechał. Wcześniej jednak zwiedził sobie Warszawę.

Projekt okładki:  
Anna M. Koźbiel

Zdjęcie autorki:  
Wojciech Skibicki

Redakcja i korekta:  
Janina Koźbiel, Jan Koźbiel

Skład i łamanie:  
MJK

ISBN 978-83-62247-43-1

Wydawnictwo JanKa  
ul. Majowa 11/17  
05-800 Pruszków  
694 536 051  
[wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl](mailto:wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl)  
[www.jankawydawnictwo.pl](http://www.jankawydawnictwo.pl)